Felieton - Moja Polska
Jan Herman

Należę do tej mniejszości, malejącej zresztą w szybkim tempie, która nie akceptuje kierunku, w którym pomyka stado wyznawców tak zwanej lewicy. Domniemanej, tak samo jak domniemany był PRL-owski socjalizm. Pewnie potrzebne jest wyjaśnienie. Moje myślenie o lewicowości jest takie, że warto zastanowić się, w jaki sposób nieliczni stają się krezusami, a zdecydowana większość nie radzi sobie w różnych sytuacjach życiowych. W różnych: w biznesie, w zatrudnieniu, w sprawach rodzinnych, w sprawach zdrowotnych, w życiu sąsiedzkim, w zdobywaniu wiedzy, itd.
Oczywiście, są też sprawy absolutnie służące większości, w których osiąga ona mistrzostwo: gadgety teleinformatyczne, zadymy uliczne, zerowe zainteresowanie samorządnością i znikoma obywatelskość.

A przede wszystkim życie na czyjś koszt: nie pomyliłem się: większość żyje na cudzy koszt, ale to nie jest tak jak się Wam wydaje: to nie zamożna i przedsiębiorcza mniejszość dokłada się do zadym ulicznych, do stanowisk pracy, do gadgetów multimedialnych, itp. Rzeczona większość zdaje się wykorzystywać sama siebie, poświęca czas, zapał i energię na dziesiątki spraw pisanych Dużymi Literami, odnosząc setki pyrrusowych zwycięstw w tysiącach nisz swojej aktywności, nie dochodząc w niej do niczego wartościowego, ale mając nieliczone powody do satysfakcji.
Nazwijmy to „kulturą samozatracenia". I przeciwstawmy ją kulturze „dobrej roboty", z której wszyscy mogliby mieć pożytek jako zbiorowość i jako miriada jednostek, jako drobne wspólnoty, nano-społeczności.
Lewica – jakkolwiek ją rozumieć – od zawsze (do niedawna) tęskniła do dobrej roboty, aby ich ojczyny rosły w siłę, a pojedyncze ludzkie konstelacje miały się dostatniej. To lewica uważa(ła), że źródłem dochodu człowieka powinna być wyłącznie praca własna dająca pożytek społeczny, poza oczywistymi wyjątkami: wiek niemowlęcy albo sędziwy, choroba albo inwalidztwo, ciąża. Ja sam może się sprzeniewierzam postulatom lewicowym i takiejż moralności, głosząc cywilizacyjną potrzebę zagwarantowania każdemu tzw. 5+2, czyli Podłogi (domu), Posiłku (wżywienia), Koszuli (przyodziewku wedle pory roku), Biletu (by mógł się przemieszczać), Gazety (źródła rzetelnej informacji bez reklam) oraz – przez całe życie –opieki zdrowotnej i edukacyjnej – wszystko na poziomie minimalnym, ale godnym. Nota bene – świrująca na innych punktach nasza „władza" akurat tu pomyka w słusznym kierunku. Kupuje głosy? Lewico, a czemu ty nie kupowałaś w ten sposób?
Zamiast tego, mamy drugorzędne (choć pewnie ważne) sprawy: wciąż niekończące się epizody bezpłodnego, a to egzaltowanego pacyfizmu (przy akceptacji NATO w Polsce), LGBT (przy rosnącej roszczeniowości tych obywateli), feminizmu (mającego niezwykle twórczy program „wypierdalać"), ekologizmu (zamiast projektu znalezienia się Człowieka w paskudnej rzeczywistości, której nie odwrócimy), itd.
Ale o tym, co „wiadomo" z lektury klasyków – czyli samorządność obywatelska w pracy i miejscu osiedlenia (zrzeszenie zrzeszeń wolnych wytwórców), która pęczniejąc wypiera Państwo z kolejnych prerogatyw, immunitetów i regaliów, aż „obumrze" – żaden mój „towarzysz" nawet nie wspomni! Nawet mój ulubiony senator PPS, nie mówiąc już o „liderach",

czyli Włodzimierzu, Adrianie czy Robercie, o Barbarze, Grzegorzu, Wojciechu, o Monice córce innego Wojciecha, o Marszałkini Wandzie, o tylu światłych i nieźle pozycjonowanych współwładcach Polski…
Pewien tęgi Ryszard, mój rówieśnik zwany... no, sybarytą, ogłosił kiedyś na zebraniu partyjnym, że marksizm nie jest już inspiracją dla polskiej lewicy. Prosiłem by powtórzył - bez mrugnięcia okiem powtórzył. A co jest taka inspiracją, zapytałem. I już kilkanaście lat czekam na odpowiedź.
Mniej-więcej to samo głoszę całe swoje dorosłe życie, i jakoś nigdy nie mam ani racji, ani posłuchu.
Więc, tytułowo – ja na to sądzę, że nie będę się „ubiegał”. Robię swoje w małej gminie, wedle zasady: myśl globalnie, działaj lokalnie. Z obrzygańcami się nie zadawaj.
Powoli, zdążę.

Jan Herman